Magiczny Kraków

Zbrodnia nieudaczników

2020-09-23

Na początku grudnia 1882 r. Kraków zbulwersowała wiadomość o morderstwie popełnionym w siedzibie Miejskiej Kasy Oszczędności, czyli budynku przy ul. Siennej oznaczonym numerem 16. Dziś jest to siedziba Archiwum Narodowego. W poniedziałek 4 grudnia około godziny dziewiątej wieczorem Jan Marek, pomocnik magazyniera, mieszkający w budynku Kasy Oszczędności, ze zdziwieniem stwierdził, że brama wejściowa nie jest zamknięta.

Michał Kozioł

Poszedł więc do izdebki stróża, Antoniego Słowika. Pukał do drzwi. Nikt nie odpowiadał, w izdebce było ciemno. Trochę go to zaniepokoiło, znał bowiem Słowika jako bardzo sumiennego dozorcę. Zamknął więc sam bramę i czekał do północy na powrót stróża, lecz się nie doczekał. Rano o szóstej godzinie Marek stwierdził, że podwórze jest niezamiecione, a brama wejściowa nadal zamknięta. Otworzył ją własnym kluczem, a zaniepokojona pani Markowa poszła sprawdzić na policji i w szpitalu, czy czasem nie wiedzą czegoś o Antonim Słowiku. Niestety, wróciła bez żadnej wiadomości. W tej sytuacji dyrektor Kasy, Marceli Jawornicki, polecił wezwać ślusarza. Gdy otwarto drzwi, na podłodze znaleziono owinięte w stary kożuch, zakrwawione zwłoki dozorcy. Było rzeczą oczywistą, że popełniono morderstwo, a Antoni Słowik zginął od jednego ciosu zadanego ostrym narzędziem. Policja natychmiast rozpoczęła śledztwo. Stwierdzono, że z mieszkania zamordowanego zniknęły należące do denata przedmioty, czyli: nowy kożuch kryty suknem, czapka, zegarek oraz torba podróżna. Nie znaleziono też żadnej gotówki, choć zmarły niedawno otrzymał pobory w wysokości 25 złotych reńskich.

Śledztwo trwa

Policja zbyt spiesznie ogłosiła wiadomość o ujęciu sprawcy. Mordercą miał być znajomy ofiary, wysłużony ułan, a obecnie cieśla, Wawrzyniec Wcisło. Niestety, kandydat na oskarżonego wcale nie miał zamiaru przyznawać się do zbrodni, a do tego dysponował murowanym alibi. Musiano go więc natychmiast wypuścić. Jednak nieprzypadkowo krakowska policja cieszyła się dobrą opinią nie tylko we Lwowie, ale nawet w stołecznym Wiedniu. Aresztowanie Wcisły było tylko pomyłką, epizodem, który nie spowolnił śledztwa.

Już zaraz po znalezieniu zwłok Jan Marek zwrócił uwagę policji na osobnika używającego nazwiska Lewandowski. Człowiek ten, przedstawiający się jako dyrektor wędrownej trupy teatralnej, miał pożyczyć od Słowika 30 złotych reńskich pod zastaw złotego damskiego zegarka. Ciekawe zeznanie złożył też dorożkarz Stanisław Mikrut. Twierdził, że wieczorem w dniu morderstwa, gdy stał niedaleko siedziby Kasy Oszczędności, podszedł do jego dorożki „jakiś pan w nieproporcjonalnie długim kożuchu z torbą w ręku wyraźnie pomięszany i zapytał się gdzie teraz pociąg odchodzi. Na odpowiedź dorożkarza, że do Lwowa, kazał się zawieźć na dworzec na pociąg pośpieszny”. Tak zaczęła się wręcz tragikomiczna historia dwójki drobnych złodziejaszków i kombinatorów, czyli Romana Kazimierza Czarnomskiego oraz Aleksandra Wasilewskiego, którzy – nie wiadomo dlaczego – postanowili zostać mordercami.

Krakowski detektyw

Opierając się na zeznaniach dorożkarza, wyruszył z Krakowa wieczorem 5 grudnia koncypista policji Władysław Swolkień. Rzecz jasna, skierował się na wschód. Nie musiał jechać daleko. Już w Tarnowie odszukał skradzione futro u Abrahama Halbkrama. Kupiec zeznał, że nabył je, oczywiście w dobrej wierze, od pani Scheindli Banderowej, której zeznania zaprowadziły krakowskiego detektywa do zajazdu Samuela Weissmanna.

Pan Weissmann doskonale pamiętał, że w nocy z 4 na 5 grudnia przybyło do jego gospody dwóch mężczyzn. Młodszy z nich, ubrany w kryty suknem kożuch, który miał stać się koronnym dowodem rzeczowym, zażądał pokoju dla dwóch osób. Po wypiciu herbaty obaj panowie poszli spać. Następnego dnia rano młodszy powiedział Weissmannowi, że chce sprzedać kożuch. Właściciel zajazdu zawiadomił więc panią Scheindlę, specjalizującą się w tego typu transakcjach. Jak zeznał pan Samuel Weissmann, młodszy z gości „dał 5 złr. starszemu, poczem tenże o 10 rano opuścił zajazd, oświadczając, że odjeżdża do Krakowa; młodszy dopiero później pociągiem ku Nowemu Sączowi odjechał”.

W tej sytuacji krakowskiemu detektywowi nie pozostawało już nic innego, jak tylko wysłać telegram do nowosądeckiej policji i wsiadać do pociągu jadącego w stronę Nowego Sącza. Przybył tam około godziny ósmej wieczorem. Czarnomskiego zastał już w miejscowym areszcie. Podejrzany zameldował się w hotelu jako Józef Siedlecki, ale zgubiła go skłonność do fantazjowania. Sierżant nowosądeckiej policji nazwiskiem Pociecha, krążąc po mieście w poszukiwaniu sprawcy krakowskiej zbrodni, zajrzał do szynku Klausnera. Widząc osobnika odpowiadającego opisowi, poprosił o „generalia”. Czarnomski przedstawił się jako Siedlecki, organista z Bobowej. Nie znał jednak bobowskich realiów i przyłapany na kłamstwie trafił do aresztu. Podczas przesłuchania podał nazwisko osoby, która popełniła zbrodnie. Miał to być Aleksander Wasilewski, właściciel karuzeli. Wasilewskiego zatrzymano w Krakowie 7 grudnia. W ten sposób w krakowskim areszcie znaleźli się dwaj podejrzani.

Sprawa sądowa

Proces morderców Antoniego Słowika rozpoczął się w poniedziałek 25 czerwca 1883 r. Śledztwo i przygotowanie aktu oskarżenia trwało zatem przeszło pół roku, a więc jak na ówczesne stosunki bardzo długo. „Nowa Reforma” w relacji z pierwszego dnia tak opisywała podsądnych: „Wasilewski ma twarz niesympatyczną, prawie wstrętną; małe oczka szeroko rozstawione i przymrużone, i wąsy opuszczone na dół, nadają twarzy jego wyraz lisiego sprytu, z powierzchowności wygląda na murarza”. Zdecydowanie więcej miejsca poświęciła gazeta opisowi drugiego z oskarżonych, czyli Romana Kazimierza Czarnomskiego false Lewandowskiego, false Siedleckiego, false Gwintowta. „Na ławce oskarżonych zasiadający Czarnomski, jest niskiego wzrostu, szatyn raczej niż brunet, o niebieskich oczach – twarz przystojna o regularnych rysach zdradza inteligencyę. Oczy głęboko osadzone wpatrują się groźnie niemal w twarz sędziów składających przysięgę – czoło stale marsowo zmarszczone. Ubrany dość przyzwoicie, w ręku trzyma ołówek i notatki”.

Już ten opis pierwszego dnia procesu nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że za głównego sprawcę zostanie uznany Aleksander Wasilewski. Oczywiście nie przyznawał się do winy i oskarżał Czarnomskiego, że to on popełnił zbrodnię przy ul. Siennej. Oprócz wzajemnych oskarżeń podsądni toczyli coś w rodzaju walki na własne życiorysy.

Tragiczne losy obu mężczyzn nie zmiękczyły serc sędziów przysięgłych. Uznali ich za winnych. Wasilewskiego skazano na śmierć, a Czarnomskiego na 18 lat więzienia z postem raz na miesiąc i ciemnicą w każdą rocznicę zbrodni. Gdy Wasilewskiego wyprowadzano z sali sądowej, pożegnał on sędziów przysięgłych słowami: „Bogu za to odpowiecie, gdyż jestem niewinny”.